

Reinkarnacja *

Słońce oświetliło kolejny kawałek drogi. Słońce,
stado słońi i kawałek tortu. Tortur nigdy dosyć;
turlać się ku wschodowi, zmieniać bieg i wschodzić,
nasycać słowotwórstwem.

Na Słońcu coś licznego jak plamy i nic pod słońcem,
nowe są tylko monety. Którędy do mennicy?
– zapytałam szukając sklepu z bułeczkami.
Wszystkie zwiężle okrągłe, zamknięte w obrocie.

Okruchy zmiatał chłopak. Rudy, czerwony na twarzy.
Wspominał sny równinne – okrutne, puste przestrzenie,
Ani jednego drzewa i ani jednych drzwi.
Schody wdeptane w ziemię. U wschodów brudne słońce.
Toczył je skarabeusz. Szur bur za trzydzieści trzy grosze.

*Z dedykacją dla Jamesa Joyce'a

* * *

*Cale miasto odchodzi, inne cale przychodzi: następne
przychodzi, odchodzi. Domy, rzędy domów, ulice,
cale mile chodników, spiętrzone cegły*

biorą się stąd, że nosimy w kieszeniach modalność snów,
snów niepewne warunki. Właśnie z tej przyczyny
nieszczelne są przechowalnie marzeń; sypią się z nich murki,

ogrodzenia, a dalej krzywe wieże, hotele: pierwsze
miejsca na drzemkę, drugie miejsca na śmierć, trzecie
na zmartwychwstanie, wynajęty pokój. Okna i wtedy widać

jak się urzeczywistnia człowiek uprzedmiotowiony, Empire
State. Wprost z chodnika podziemiem dwudziesta piąta
wschodnia. To ja – wyrzucam z płuc ostatni węgielny kamień.

Miasto dźwigam za miasto zwyczajem pozamiejscowych,
bezpiecznych i z rasą niezgodnych – proroków, bogów,
wybrańców, mieszkańców tragiczności, *daj spokój, Bloom,*

szczurów.